

GRZEGORZ WJELGUS

# SAAL

Copyright © 2020 GRZEGORZ WIELGUS  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © 2021 WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: DAGMARA ŚLĘK-PAW  
Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ  
Projekt okładki oraz DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB  
Konsultacje: Izabela Nestioruk

Fotografia wykorzystana na okładce:

EBRU SIDAR / ARCANGEL  
ANDREIUC88 / SHUTTERSTOCK

WYDANIE I  
ISBN 978-83-66328-54-9



Wydawnictwo INITIUM  
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)  
e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)  
[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)  
Druk i oprawa: DRUKARNIA READ ME

GRZEGORZ WIELGUS

# SAAAL



KRAKÓW 2021



# PROLOG

## Piątek

Wojciech Tkacz nie powinien był wracać tego wieczora do domu. Nie zauważył nieco zbyt równo ułożonych butów koło wycieraczki, poprzesuwanymi wieszaków w szafie, nie zwrócił uwagi na pozamykane drzwi do sypialni oraz salonu, mimo że zawsze zostawia je uchylone. Jego myśli bez reszty zajmowała zwichnięta noga i wbijające się w skórę paski stabilizatora kolana. Wprawdzie orteza kosztowała majątek, a sprzedawca zachwalał jej oddychającą, trójwarstwową owijkę z opatentowanego materiału o skomplikowanej nazwie, jednak w sierpniowym upale wszystko to nie miało większego znaczenia. Kolano bolało jak diabli.

Mężczyzna pokuśtykał do kuchni, położył plecak na stole i wyciągnął z niego paczkę słonych paluszków. Sięgnął ręką w stronę granitowego kontuaru, na którym przed wyjściem zostawił salaterkę, ale zamarł, czując pustkę pod palcami. Błat był pusty, chociaż Tkacz pamiętał wyraźnie, że jeszcze rano stała na nim niebieska miseczka. Zostawił ją tam specjalnie, żeby nie chodzić zbyt dużo po mieszkaniu i jak najszybciej położyć się na kanapie przed telewizorem.

– Co, do cholery? – Wojciech rzucił paluszki na stół i podszedł do szafki. Otwierana szuflada zachrobotła. – Dlaczego jest tutaj? – mruknął, patrząc na niebieską miskę,

stojącą tuż obok innych, starannie ułożonych naczyń. – Dałbym sobie głowę uciąć, że zostawiłem ją na blacie.

Tknięty nieprzyjemnym przecuciem, Wojciech przeszedł do salonu i przejechał dłonią po włączniku światła. Pokój zalała łagodna jasność. Żaluzje były zamknięte, a klepki parkietu tkwiły tam, gdzie powinny – w podłodze, przykrywając kilka depozytów z przechowywaną przez Tkacza fortuną. W pierwszej chwili Wojciech odetchnął z ulgą, gotów zrzucić cały niepokój na karb metadonu, którego nie powinien był mieszać zesłej nocy z alkoholem. Być może tak długo myślał o odpoczynku, że wmówił sobie historyjkę o stojącej na blacie misce.

Dopiero gdy obrócił głowę, zrozumiał, że nie był sam.

W przejściu do sypialni, na krześle, siedział nieznajomy mężczyzna. Ubrany był zwyczajnie, w podkoszulek i sprane, czarne spodnie, ale jego oczy do zwyczajnych nie należały. Podkrążone, głęboko osadzone ślepia nadawały mu wygląd wilka. Wojciech zastygł w bezruchu, dostrzegając dłoń w rękawiczce, spoczywającą na rękojeści pistoletu.

– Gdzie ona jest? – zapytał nieznajomy, przymykając powieki.

– Jak... Kim jesteś? – wykrztusił Wojciech.

– Nie. Źle. – Mężczyzna w fotelu pokręcił głową, choć jego wzrok pozostawał utkwiony w Tkaczu. – Gdzie?

– Nie-nie wiem, o czym mówisz. – Wojciech poczuł nagłą suchość w ustach.

Przez twarz siedzącego na krześle mężczyzny przebiegł ledwie zauważalny skurcz niezadowolenia. Uniósł pistolet, glocka zakończonego długim cylindrem tłumika.

– To proste pytanie. Gdzie?

– Musiałeś mnie z kimś pomylić. – Na widok wycelowanej w siebie broni Wojciech przełknął ślinę. Oparł dłoń na framudze drzwi i powoli, jak mysz w obliczu węża, zaczął cofać się do przedpokoju. – Możesz zabrać pieniądze. Mam sporo forsy, chcesz? W domu dobre dziesięć patyków. Potem pojedziemy do bankomatu, dostaniesz drugie tyle i rozstaniemy się jak kumple. Co ty na to? To sporo kasy.

– „Jak szybko mogę dotrzeć do drzwi?” Nad tym się zastanawiasz. Cztery i pół kroku. Dwa zamki. Górny przekręciłeś dwukrotnie. Dolny tylko raz. Myślisz, że zdołasz je otworzyć? – W głosie mężczyzny pojawił się niepokojący ton. Teraz mówił powoli, z wysiłkiem i niechęcią. Sprawiał wrażenie, jakby rozmowa z Tkaczem wywoływała u niego obrzydzenie. Tłumik wskazał na kanapę. – Usiądź.

Wojciech bez słowa wykonał polecenie.

– Ukradłeś coś bardzo cennego. Chcę to odzyskać. – Nieznajomy opuścił broń, nie chcąc męczyć nadgarstka.

– Nie wiem, o czym mówisz, na-naprawdę.

– Wiesz. – Dopiero teraz, po długiej chwili, jego powieki drgnęły, na moment przesłaniając oczy.

– Nie ma tego tutaj, bo... – wydusił z siebie Wojciech, ale nagle urwał. Zbladł tak bardzo, że pod skórą zarysowały się linie żył.

– Nie ma tutaj czego?

– Paczki. Tej, którą ukradłem. – Wojciech nie odważył się nawet spuścić głowy. Siedział na skraju kanapy, z każdym mięśniem boleśnie napiętym do granic możliwości.

– Przerwałeś. Nie ma jej tutaj... bo?

Wojciech zacisnął bezkrwiste wargi. Milczał.

– Oddałeś ją – dokończył nieznajomy. – Komu?

– Łącznikowi. W Falsztynie.

– Za szybko odpowiadasz. Nie ruszałeś się z Krakowa przez ostatnie dni. Nie z tym kolanem. – Lufa glocka wskazała na nogę Wojciecha. – Oddałeś ją. Komu?

– Odzyskam ją! Daj mi tylko kilka dni! Odkręcę to. Zorganizuję nowy towar dla Rakowatego i wmówię mu... coś. Wymyślę coś, zobaczysz! Mam trochę rzeczy we własnej kolekcji. On się nie połapie od razu.

– Ile dokładnie czasu potrzebujesz?

– Cztery! Cztery dni. We wtorek będziesz miał swoją paczkę. Całą, nienaruszoną. Obiecuję! – W głosie Wojciecha zabrzmiała desperacja, zgoła niepasująca do jego charakteru. Zwykle na widok broni albo choćby najlżejszej groźby kładł uszy po sobie i szedł z miejsca na ugodę. Tym razem jednak nie mógł tego zrobić. Musiał wziąć na siebie wszystkie konsekwencje, nawet jeżeli oznaczałoby to długą kąpiel w Wiśle zakończoną przy stopniu wodnym na Dąbiu.

– Dlaczego? – Ciemne oczy nieznajomego zwęziły się w szparki.

– Słucham? – Dłonie Wojciecha zaczęły drżeć. Nie spodziewał się takiego pytania.

– Dlaczego cztery dni?

– Bo...

Intruz sięgnął dłonią po stojącą obok krzesła butelkę wódki. Przewrócił ją, a następnie pchnął końcem wojskowego buta w kierunku kanapy. Szkło zaterkotało po parkiecie.



– Pij – polecił.

– Dlaczego? – Pomimo pytania Wojciech schylił się powoli po flaszkę.

– To wódka. Służy do picia. – Kiedy indziej, w innym miejscu i czasie, Wojciech zaśmiałby się z tych słów, po czym kazałby p olać wszystkim zgromadzonym przy stole. Ale mężczyzna z pistoletem nie żartował, mówił całkowicie poważnie, stwierdzał fakt. W pokoju zapadła cisza przerywana chrobotem aluminiowej nakrętki.

– Dlaczego cztery dni? – podjął nieznajomy.

– Muszę odzyskać paczkę. – Butelka trzęsła się w ręku Wojciecha. – Będzie cała. Gwarantuję. On jej nie rozpakuje...

– On. – Siedzący na krześle odetchnął długo, spokojnie. – Dlaczego cztery dni? – Lufa pistoletu zatoczyła niewielkie kółko. – W ścianach masz dość towaru, żeby załatwić to od ręki. Starczyłby ci jeden telefon.

– Potrzebuję czterech dni. – Wojciech zdobył się na odrobinę piskliwej stanowczości. – Zapłacę ci za te cztery dni. Dobrze zapłacę. Dychę za każdy, czterdzieści tysięcy euro za to, żebym mógł ci przynieść paczkę. Co ty na to? Niezły układ, prawda?

– Pij, a potem powiedz, kim on jest.

– To zaufany człowiek. Nie wie, co jest w paczce. To... przyjacielska przysługa. – Na białych dotychczas policzkach Wojciecha pojawiła się wstydliva czerwień.

– Muł – zgrzytnął nieznajomy.

– Tak. Wkręciłem w to człowieka z zewnątrz. Przyjaciela. Znam go, od kiedy pamiętam, i wpięprzyłem go w to

gównu. Tak, wiem, schrzaniłem! – Potok słów zdawał się nie być skierowany do mężczyzny na krześle. – Gdybym mógł, tobym to odkręcił. Dlatego potrzebuję czterech dni, żeby to, kurwa mać, naprawić. Żeby tamci się nie połapali, rozumiesz? Ci z Falsztyna. Obiecałem im tę paczkę i jeżeli jej nie dostaną, to moi przyjaciele oberwą. – Wojciech pociągnął kilka łyków wódki, z trudem powstrzymując drżenie głosu oraz łzy. – Rozumiesz? Chcę ich z tego wyciągnąć. Nawa-liłem. Chciałem się wykręcić z tego całego szmuglu, zrobić ostatni numer. Nikt się miał nie kapnąć. Ja bym się wycofał po cichu i... i tyle. Myślałem... ech... kurwa, nieważne, co myślałem. Stało się, psia mać.

– Kim on jest?

– Nie... Nie powiem. – Wojciech uniósł zaczerwienione oczy na nieznajomego. – Nie mogę. Daj mi te cztery dni. Błagam. Oddam paczkę. Oddam z nawiązką.

– Rozumiem. – Mężczyzna wstał z krzesła i wsunął pistolet do kabury. W mig pojął, że tego nazwiska nie zdobędzie bez wyrwania paznokci, wrzasków lub podtapiania, a te nie wchodziły w grę. – Odlóż butelkę.

– Na-naprawdę?

– Tak. Naprawdę.

\* \* \*

Saal jednym ruchem znalazł się przy Wojciechu. Chwy-cił go za głowę i trzasnął skronią o stojący przy kanapie stół z hebanowego drewna. Mężczyzna upadł na parkiet, wierzgając nogami, spazmatycznie prostując i zaciskając pal-

ce. Saal stał nad konającym, trzymając dłonie splecione za plecami. Z obojętnym spokojem obserwował, jak Wojciech czołga się w kierunku środka pokoju. Takich jak on widział już wielu. Niezależnie od tego, w co byli ubrani – w drogie garnitury, burnusy czy flanelowe koszule – wszyscy umierali podobnie. W samotności i strachu. Wojciech znieruchomiał, a wokół jego jasnych włosów rozlała się lepka kałuża czerwieni. Saal klęknął u boku Tkacza, wy dobył z kieszeni małą latarkę, którą zaświeceił w oczy mężczyzny. Rozszerzona źrenica nawet nie drgnęła.

Bacząc, by nie wdepnąć w plamę krwi, Saal stanął nad zabitym. Spojrzał na regał z ciemnego drewna, kontrastujący ze schludną bielą ścian. Przejechał wzrokiem po długiej kolekcji kupionych na pokaz książek o gładkich, nigdy niezagiętych grzbietach. Całą górną półkę zajmowały dzieła poświęcone historii Polski oraz wiktoriom polskiego oręża. Saal zrzucił kilka z nich na podłogę, a następnie postawił między książkami taboret.

Gdy skończył, stanął na drugim końcu salonu i w milczeniu obserwował miejsce tragicznego wypadku. Oczywiście prędzej czy później jakiś nadgorliwy śledczy dopatry się drobnych nieprawidłowości w materiale dowodowym i zacznie podejrzewać, że nieszczęśliwy wypadek trzydziestolatka, który po kilku łykach wódki rozbił sobie głowę, w istocie miał drugie, a nawet trzecie dno. Jednakże Saal miał pewność, że kiedy do tego dojdzie, on będzie już daleko poza kręgiem podejrzanych. W istocie nigdy nie zamierzał się w nim pojawić.

Zabójca przeszedł do kuchni, gdzie wciąż leżał nierozpakowany plecak Wojciecha. Wyciągnął z niego piwo w kartonowym opakowaniu i włożył puszkę do lodówki, na dolną półkę, aby nie wywróciły się przy otwieraniu drzwi. Słone paluszki przesypał do miski, a folię wyrzucił pod zlew, do kosza. Wreszcie nalał do niskiej szklanki nieco wódki i postawił ją wraz z miską na hebanowym stoliku. Dopiero teraz Saal usiadł na kanapie, kładąc laptop Wojciecha na kolanach.

Otworzył klapę komputera, upewniając się, że kawałek taśmy klejącej ściśle zakrywa obiektyw kamery. Hasło złamał już wcześniej, toteż dostanie się na pulpit zajęło mu ledwie chwilę. Zanim Wojciech wrócił do mieszkania, Saal zdążył przejrzeć zgromadzone na dyskach pliki, odkrywając pokłady pirackiego oprogramowania i ogromny folder pornografii, podzielony z najwyższą skrupulatnością na kategorie wiekowe, kolor skóry oraz rozmiary kobiecych atrybutów występujących w nich pań.

Wojciech, podobnie jak wielu innych ludzi obdarzonych słabym charakterem, potrafił zebrać się na odwagę tylko w ostateczności, gdy poczuł wstręt do samego siebie. Impulsem tym nie był fakt, że pośredniczył w przemyśle, dzięki któremu mógł pozwolić sobie na gustownie wyposażone mieszkanie, zajmujący pół ściany telewizor oraz balowanie przez większą część miesiąca w barach, co potwierdzało jego konto na Instagramie. Wojciech dobrze czuł się w swojej skórze, a wszelkie wątpliwości śmiało przykrywał pieniędzmi. Niczym padlinożerca, nie wahał się przed kradzieżą,

jednocześnie unikając większych od siebie drapieżników. Wstydem napawała go dopiero myśl, że przez jego działania może ucierpieć ktoś z jego najbliższego kręgu znajomych. Oczywiście ów wyrzut sumienia przyszedł za późno, dopiero wtedy, gdy skradziona paczka wepchnęła niewinną osobę między młot i kowadło.

Saal zrzucił na pasek zadań ujęcia z nocnych klubów oraz butelki drogich alkoholi, lśniące pod wystrzałem lampy błyskowej, które stanowiły większą część instagramowej galerii Wojciecha. Podniósł wzrok znad laptopa i przez moment przyglądał się leżącemu na podłodze człowiekowi. W końcu wstał i wrócił do kuchni. Zastanawiał się, dlaczego zamiast leffe czy innych importowanych piw Tkacz wciąż trzyma w lodówce tanie browary z osiedlowego sklepu. Jeden rzut oka na wnętrze barku wystarczył, aby zauważyć, że Wojciech wybierał tylko drogie trunki, single malty, długo leżakowane wina, wódki po kilkaset złotych za butelkę, ale w kwestii piwa preferował marki, które nawet nie powinny stać koło karafki teelinga.

Zabójca pochylił się nad ciałem.

– Przypomina ci to o starych czasach, kiedy jeszcze nie mogłeś sobie pozwolić na to wszystko. – Saal wskazał głową na plazmowy telewizor oraz konsolę do gier. Oczy miał utkwione w twarzy martwego. – Można wyciągnąć człowieka z biedy, ale biedy z człowieka nigdy.

Usiadł z powrotem na kanapie, przyciągnął laptop i przesunął kursor na niebieską ikonę Facebooka, do którego Wojciech był stale zalogowany. Cierpliwie przewijał profil Tkacza,

uważnie oglądając wszystkie zdjęcia i sprawdzając oznaczone na nich osoby. Trafiły się tam również kadry górzystych krajobrazów, na których widać było niezmiennie dwoje ludzi. Kobiętę o kasztanowych włosach oraz obejmującego ją mężczyznę w okularach. Wyglądali na szczęśliwych.

– Raz powiedziałaś „oni” zamiast „on”.

Wystarczyła chwila, aby Saal poznał nazwiska dwójki turystów i dowiedział się, że Michał Gil chodził z Wojciechem Tkaczem do Szkoły Podstawowej numer pięć przy alei Kijowskiej w Krakowie. Znajomymi na Facebooku byli od dwa tysiące jedenastego roku. Gdzieś dało się wylapać automatycznie generowane laurki upamiętniające kolejne lata znajomości oraz zdjęcia z klasowych spotkań po latach. Wojciech i Michał pojawiali się na nich zawsze razem.

Laptop zapikał. U dołu ekranu pojawiło się okienko czatu z Adamem Wilczyckim.

„Hej. Mam pytanie. Czy mógłbyś w poniedziałek być w pracy na rano? Głupio mi prosić, żebyś mnie zastąpił, ale wypadło mi coś. Sprawa rodzinna”.

Saal przewinął okno rozmowy wyżej, przebiegając wzrokiem po wcześniejszych konwersacjach Wojciecha z Adamem. Zastukał palcem o bok laptopa, po czym odpisał.

„Coś poważnego?”

„Nie. Wesele kuzynki. Zapomniałem o tym na śmierć, a jak nie przyjadę, to umarł w butach”.

„Rozwaliłem sobie kolano, więc odpada. Ale napiszę do Olka, on łapie każde nadgodziny. Będziesz mi wisieć browara. Jemu też. Najlepiej cztery”.

„:) Dzięki wielkie. Ratujeś mi dupę”.

„Taak. I morduję swoją wątrobę. Powiedz tylko, kiedy możemy się spotkać”.

„Wtorek? Tam gdzie zawsze? 20?”

„No to ułożeni”.

„Dzięki raz jeszcze. Lecę się pakować”.

„Trzym się”.

Saal wrócił do wertowania rozmów Wojciecha z ostatnich dwóch tygodni. Skrupulatnie, bez pośpiechu pochłaniał stygnące resztki życia zabitego mężczyzny. Badał wszystko, poczynając od wymiany wiadomości z internetowymi sklepami, po dyskusje z kolegami z firmy deweloperskiej.

Nie zapominając o Michale oraz jego narzeczonej, Alicji Zagórskiej, Saal w pierwszej kolejności poszukał na komputerze jakichkolwiek informacji o paczkomatach lub firmach kurierskich.

Tydzień temu Wojciech odebrał z pobliskiej stacji benzynowej przesyłkę, ale wystarczył krótki przegląd skrzynki e-mailowej, aby okazało się, że był to zamówiony wcześniej zestaw żetonów do pokera. Nie chcąc niczego przegapić, Saal ostrożnie wydobyl z kieszeni martwego telefon, chociaż nie spodziewał się znaleźć tam niczego nowego. Wojciech odbierał esemesy przez sparowaną z Facebookiem aplikację, przez co wszystkie jego rozmowy były dosłownie na wyciągnięcie palców. Było ich wiele, setki, być może nawet tysiące pozbawionych znaczenia wiadomości, emotikonów, liter „K” służących za podsumowanie każdej dyskusji, na równi z symbolem uniesionego kciuka. Tym zazwyczaj kończył konwersacje. Zapewne

Tkacz nawet nie otwierał okna komunikatora, tylko wcisnął przycisk „lubię to”. Czasami jednak Wojciech silił się na uwagę. Trzymał ikonę kciuka tak długo, aż wypełniała niemalże połowę ekranu. W nawale informacji pojawiały się obrazki z internetu, czasami równie abstrakcyjne jak głupie żarty oraz wulgarne i obsceniczne komentarze pod zdjęciami otrzymanymi od Karolinki. Nie miała nazwiska. Była Chętna, Chętna Karolinka.

Saal nie reagował na widok dziewczyny. Obserwował każde zdjęcie z nieruchomą twarzą, oświetloną jedynie blaskiem ekranu. Nie widział rozchylnych nóg ani obnażonych piersi, tylko obojętnie przewijał konwersacje dalej, poszukując między wiadomościami czegoś wartościowego, wzmianki o przysłudze, spotkaniu w ostatnich dniach czy poleceniu przekazania komuś jakiejś przesyłki.

Saal powątpiewał, że Wojciech, pod płaszczykiem rozpacz i desperacji, próbował skierować uwagę zabójcy na przyjaciela ze szkoły, jednocześnie chroniąc swoją kochankę. Na to nie był ani wystarczająco sprytny, ani tym bardziej wystarczająco odważny. Był złodziejem, a złodziej ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej boi się tego, że go okradną. Dlatego nikomu nie ufał i do każdego człowieka przykładał swoją miarę. Wojciech nie broniłby tak zażarcie brunetki w wyzywającym makijażu. Mógł z nią uprawiać seks, wyzywać ją albo zakładać kaganiec, ale na tym kończyła się ta relacja. Traktował ją jak przedmiot. Nie powierzyłby jej żadnego sekretu. Saal przesunął ekran na ostatnie zdjęcie Karoliny. Tutaj kobieta ubrana była gustownie,



w ładną, czarną sukienkę oraz dobrze dobrane buty na obcasie. Pomimo zalotnego uśmiechu na karminowych ustach w oczach Karoliny widać było smutek, jakby pogodziła się już z faktem, że jedynym jej atutem, który dostrzegał świat, było jej ciało. Saal widywał już podobne spojrzenia, z okien zburzonych domów, zza drucianych ogrodzeń i pomiędzy szczelin w ceglanych murach.

Potrząsnął głową, opędzając się od wspomnień. Kliknął na profil Michała Gila i przez kilka chwil chłonął widok zwykłej twarzy, za zwykłymi okularami, na tle zwykłego życia. Michał zdawał się być przeciwieństwem Wojciecha. Spokojny, malutki trybik w biurowcu ze stali i szkła, pracujący na zlecenie jednej z korporacji, której nazwa mogła należeć zarówno do koncernu farmaceutycznego, jak i prywatnej firmy wojskowej.

Gdzieś za oknem zapiszczały opony.

Saal otworzył okno konwersacji z Michałem. Tutaj nie było ciągłych wulgaryzmów, chwalenia się imprezami oraz wypitymi procentami, choć nie brakowało wymiany żartów, które potrafiły ciągnąć się całymi dniami. Ktoś inny zapewne zwróciłby uwagę na tę różnicę i zadał sobie pytanie, który z Wojciechów był prawdziwy – ten z rozmów z Michałem czy ten uwieczniony na rozmazanym tle krakowskich klubów nocnych.

„Mam świetny pomysł”, napisał Wojciech w zeszły piątek, „cztery dni, ty, ja i Ala. Bierzymy plecaki, namioty i jedziemy do Rabki. Jedziemy w następną sobotę, wracamy we wtorek, co ty na to?”

„Zaciekawiłeś mnie, mów dalej”.

„Przejdźmy się, jak rok temu w Rumunii. Nic, tylko pot, zmęczenie, wrzynające się plecaki... Czy to nie brzmi świetnie? No, nie daj się prosić!”

„Jakże mógłbym odmówić. Zobaczę, czy uda mi się wyszarpać wolny poniedziałek i wtorek, dobra?”

„OK! Daj znać, jak się czegoś dowiesz”.

Odpowiedź była szybka.

„Zaklepane. Mamy wolne, obydwójce”.

„Super!”

„Skoro się już zgodziliśmy, to powiedz, co ci chodzi po głowie. Dokąd idziemy?”

„Myślałem, żeby przejść z Rabki do Falsztyna”.

„Falsztyn? Gdzie to? Czekaj... Czej... Czej... Sprawdź na mapie. Co tam jest ciekawego?”

„W samym Falsztynie nic, co by tyłek urywało, ale spójrz na to. O, tu! Poczekaj chwilę. Ładuje się”.

Poniżej wiadomości znajdowało się zdjęcie satelitarne z zakreślonym na czerwono długim cyplem wchodzącym w granatowe wody Jeziora Czorsztyńskiego.

„Ładny kolor, Paint mocno, ale dalej nie rozumiem, co tam jest”.

„W samej wsi nic specjalnego”.

„Ech. Jak to jest, że kiedy trzeba, nie potrafisz mówić po ludzku?”

„No dobra. Jak zobaczysz sobie na satelicie, to z tego cypla widać zamek w Czorsztynie i Niedzicy. Do tego w pobliżu można sobie wynająć łódkę do pływania po zalewie.

Co ty na to? Najpierw nieco się zmęczymy, a potem dzień biwaku z rybką nad jeziorem? Hm?”

„Dobry pomysł. Podoba mi się. Powiedz tylko najpierw, jak tam wygląda sprawa z transportem. Mam na myśli powrót”.

„Rano przeplniemy sobie z manelami do Czorsztyna i złapiemy busa do Krościenka albo Nowego Targu. Stamtąd do Krakowa coś jeździ co godzina”.

„Wszystko zaplanowałeś. Szybko coś”.

„Słyszałeś o takiej rzeczy jak internet? Zajął mi to 15 minut”.

Saal przebiegł wzrokiem po kolejnych dniach rozmów, wydobywając z białego szumu jedną wartościową dla siebie informację: sobota, dworzec główny, bus do Rabki-Zdroju, punkt siódma.

Parę dni później Wojciech, w czasie kolejnej suto zakrapianej imprezy, upadł i uszkodził sobie kolano. Naturalnie jego męczyńska twarz oraz wiekopomne uwagi na temat opieki zdrowotnej momentalnie trafiły na Instagram, zbierając setki serduszek i wywołując falę smutnych emotek. Rzecz o tyle dwulicowa, że łatwo było relacjonować swój ból z prywatnej kliniki, której nie sposób było porównać z takim przybytkiem jak Szpital imienia Stefana Żeromskiego w Nowej Hucie.

Jeszcze z ambulatorium Tkacz napisał do Michała.

„Rozwaliłem sobie kolano”.

„Jasny gwint. Możesz chodzić?”

„Kuśtykać. Nie mogę jechać, sorry, że tak wypadło :( Ale mam prośbę”.

„Dla ciebie wszystko. No, prawie wszystko”.

„Jedziecie z Alą?”

„Bez ciebie łyso będzie, ale skoro wzięliśmy wolne, to żal byłoby to zmarnować. Kolejna okazja nie nadarzy się zbyt szybko. Zresztą Ala się już strasznie napaliła na wyjazd i nie ma bata, żeby zrezygnowała. Nie będziesz o to zły?”

„No co ty. W życiu. To ja się znowu połamałem. Mam prośbę. Moglibyście coś dla mnie podrzucić do Falsztyna?”

„Podrzucić?”

„Myślałem, że sam to zrobię, a na pocztę już nie ma za bardzo czasu. Zanim kogoś poproszę, żeby tu wpadł i to zaniósł na pocztę, to minie. Wiesz, jak to jest, a ja cały piątek spędzę w klinice. W weekendy listonosze nie jeżdżą po takich wsiach, więc jak to w poniedziałek ruszy, to wtorek, środa będzie na miejscu. Nie sądziłem, że sobie nogę rozwalę”.

„Kurier?”

„Po co robić problemy? Owiń to w jakiś polar i po sprawie. Ale jak nie chcesz tego zrobić, to po prostu powiedz”.

„Ale narzekasz. Nawet przez ekran słyszę, jak cię kulas boli”.

„Sorry. Naszpikowali mnie jakimiś prochami i rzygać mi się chce cały czas. Leżę i jęczę”.

„Nie ma sprawy. Naprawdę. Podskoczę jutro, zawiozę cię do kliniki i pogadamy, co? Zabiorę ci tę paczkę. Nie bój nic”.

Saal zamknął okno czatu. Wiedział już wszystko.

Wojciech musiał poczuć, jak grunt pali mu się pod nogami. Z jednej strony miał w ręku śliski towar, a z drugiej ustalony termin dostawy do Falsztyna. Tego drugiego zmienić

się nie odważył. Był tchórzem pozującym na człowieka sukcesu. Prędzej by się dał wrzucić pod pociąg, niżby zadzwonił do Rakowatego z prośbą o przełożenie terminu albo zmianę miejsca wymiany. W tym fachu na takie rzeczy mogli sobie pozwolić nieliczni, zwłaszcza kiedy w grę wchodził ukradziony od konkurencji ładunek. Wojciech zaś zdecydowanie nie należał do zaufanych ludzi Rakowatego. Daleko mu też było do grona ludzi opanowanych, bo, zamiast posłużyć się kurierem, co ironicznie proponował mu Michał, postanowił wykorzystać przyjaciela jako muła, i to na dodatek ślepego. W swojej podejrzliwości do wszystkich dokoła podjął jedyną decyzję, jaką mógł podjąć człowiek jego charakteru. Oddał paczkę osobie, wobec której nie miał żadnych wątpliwości, uznając najwyraźniej, że to będzie idealne rozwiązanie kłopotu. Wszystko przecież miało toczyć się według planu. Wystarczyło napisać łącznikowi, żeby się nie przejmował, że to nie on zapuka do jego drzwi, i cała sprawa miała się zakończyć raz na zawsze, bez żadnych komplikacji.

Mylił się. Nie pierwszy, ale na pewno ostatni raz.

Saal odłożył laptop na kanapę. Ustawił go ekranem w stronę oparcia, po czym zdarł z kamery kawałek taśmy, który następnie włożył do kieszeni.

Siedział w bezruchu. Patrzył na czarną taflę telewizora, jakby umiał dostrzec na jej powierzchni coś więcej niż jasne ściany oraz własne, niewyraźne odbicie. Trwał tak długo, zasłuchany w ciszę, aż za oknem zapadła noc, przecięta ledwie kilkoma snopami światła z osiedlowych latarni.

# ROZDZIAŁ I

## Sobota

Pomimo wczesnej pory w powietrzu czuć było pierwszą zapowiedź kolejnego upalnego dnia. Od tygodnia słońce zalewało Kraków falą gorąca, od którego topił się asfalt w parkowych alejkach, a całe miasto wypełniał charakterystyczny, ciężki zapach. Znowu ludzie będą gromadzić się przy kurtynach wodnych i oblegać stoiska z lodami. Dorożki znikną z Rynku Głównego i skryją się pomiędzy kamienicami Starego Miasta. Wraz z całą masą zagranicznych turystów oraz skąpo odzianych ludzi centrum Krakowa do złudzenia przypominać będzie plażę. Wielką, kamienną, rozwrzeszczaną plażę.

Alicja i Michał wysiedli z samochodu na górnym parkingu dworca głównego, tuż obok Galerii Krakowskiej. O tej porze było tu jeszcze pusto. Ziewając, Alicja otworzyła klapę bagażnika.

– Podobają mi się twoje nowe włosy. – Michał oparł się o dach auta.

– Nie są nowe – mruknęła kobieta, stawiając plecak na betonowych płytach parkingu.

– Są czerwone. Wcześniej nie były.

– Bagażnik jest brudny. Wcześniej nie był. – Alicja odgarnęła pukiel rudych włosów i uśmiechnęła się zadziornie. – Naprawdę ci się podobają?

– Tak. Do twarzy ci. – Michał podniósł plecak i zarzucił go na ramię. – Poniosę przez chwilę.

– Nie musisz.

– Ty się go nadźwigasz przez najbliższe kilka dni. – Ruszył w kierunku dworcowej windy, znajdującej się obok metalowej kładki łączącej parking z molochem Galerii Krakowskiej. – Jadłaś coś?

– Mhm.

– Znam ja to „mhm”. Pewnie stałaś i gapiała się w lodówkę. Dowiedziałaś się w końcu, czy skrzaty gaszą światełko, kiedy zamykasz drzwi?

– I tak jest za wcześnie na śniadanie. – Alicja wywróciła oczyma. – Zjem coś w drodze albo w Rabce.

– Mowy nie ma. – Michał pokręcił głową. – Jest za pięć wpół. Zaraz otworzą żarcie koło dworca. Chodź. Akurat muszę do siódmej rano wydać trochę pieniędzy z karty. Inaczej świat się skończy.

– Nie musisz – powtórzyła, ale tym razem mniej stanowczo.

– Ale chcę.

Minęło dziesięć minut i Alicja siedziała na kanapie w jasnym wnętrzu restauracji, zerkając odruchowo na zegarek. Po chwili przed sobą miała już plastikową tacę, która przeszła przez niezliczoną liczbę rąk, oraz posiłek mający za sobą zapewne równie długą drogę.

– Musisz mieć siły, żeby iść. – Michał usiadł naprzeciwko. Natychmiast wyciągnął dłoń przez blat i chwycił kobietę za rękę. – I wrócić.

– Jak to wszystko zjem, to nie będę iść, tylko toczyć się po górach. A wrócić to wrócę, ale grubsza. – Alicja wskazała oczami na kubek ze słomką. – Bez cukru?

– Oczywiście. Kopa niezdrowego jedzenia i cola bez cukru, typowy zestaw człowieka, który chce się oszukiwać, że dba o linię. – Michał sięgnął do frytek. – Nie martw się wagą. Kula to przecież figura idealna.

– Jesteś beznadziejny. – Alicja rozerwała papier na pierwszym z hamburgerów. – Ale cię kocham.

– Wiem... głupio mi, że nie mogę z tobą jechać. Strasznie głupio. Najpierw Wojas sobie rozwalil kolano, a potem te cholerne nadgodziny. – Michał posmutniał. – Akurat teraz.

– Skarbie, nie przejmuj się tym. To przecież nie twoja wina.

– Trochę moja, bo mogłem ich nie brać. – Mężczyzna westchnął ciężko. – Ale jeden z zespołów zawalił zlecenie i trzeba ratować ten płonący śmietnik. Do tego szefostwo szykuje się do awansowania ludzi z pracowników na stanowisko samodzielnie szukających pracy. Tego awansu nie chciałbym dostać.

– Mówiłeś mi to już. Dwa razy, i to od kiedy wyjechaliśmy z domu. – Alicja pociągnęła łyk z kubka. – Uch... prawie sama woda. Chyba powinni zajrzeć do automatów.

– Wolalbym jechać z tobą.

– Gdybym wiedziała wcześniej i gdybym nie wzięła Wojasowi tej całej paczki, to uwierz mi, nie wyciągnąłbyś mnie z łóżka w ten weekend. – Mrugnęła do chłopaka. – Byłabym jak zwierzę. Leniwiec, dokładniej rzecz ujmując.



– Chętnie bym cię dokarmił.

– Zresztą pomyśl, nie będzie mnie ile, dwa dni? Dziś mamy sobotę i jeszcze się widzimy. Na ósmą masz robotę. Zanim się obejrzysz, będzie wieczór – tłumaczyła Alicja pomiędzy jednym kęsem a drugim. – Obejrzysz film, najlepiej jakiś długi, w wersji reżyserskiej. Przetrwasz niedzielę... i już. Dziś nocuję pod Gorcem. W niedzielę będę w tym całym Falsztynie. Jak się pośpieszę, to jutro w nocy będę w domu.

– No nie wiem, jutro w nocy? – Michał nie wyglądał na przekonanego wywozem narzeczonej. – Z Rabki na Gorc to już ładny kawał drogi.

– Wykonalne. Jak byliśmy w Rumunii, to chodziliśmy po dwadzieścia kilometrów dziennie, i to z namiotami, palnikiem i wszystkimi innymi kłopotami.

– Ile dzisiaj chcesz przejść?

– Dwadzieścia kilka. – Alicja wzruszyła ramionami. – Nie mam dużo rzeczy.

– A kolejnego dnia?

– Coś koło dwudziestu kilometrów. Schodzę z Gorca prosto do Ochotnicy Dolnej, więc idę cały czas w dół. Potem wejdę pod Kudowski, zacznę schodzić spod Lubania na Wdżar. Swoją drogą wiedziałeś, że po drodze jest góra, która nazywa się Kuternogowa? Dowiedziałam się wczoraj, jak sprawdzałam trasę na mapie. – Alicja zmięła papieraek po hamburgerze. – Przeplynę „Harnasem” albo „Czorsztyńską” do Niedzicy, a na pokładzie jest co zjeść, więc z głodu nie padnę. Zrobię sobie rezerwację, jak wyjdę z lasu i złapię sensowny zasięg.

– Nie za ambitnie? Nie chodzi o to, że w ciebie nie wierzę. Ale moja wiara słabo przekłada się na pokonywanie kilometrów.

– Skoro idę sama, to mogę równie dobrze sobie urządzić małe zawody. Ja kontra czas. Jak nie będę mieć marudy pierwszego i jockały numer dwa za plecami, to pójdzie mi szybciej. – Alicja pochłaniała już drugiego burgera, co zgoła nie licowało z jej drobną sylwetką. – Jeżeli mi się uda, to zdążę złapać jakiś bus do Nowego Targu. Stamtąd do Krakowa cały czas coś jeździ. Ostatni chyba o północy albo pięć po.

– A jeżeli nie?

– Mało jest pokoiów do wynajęcia czy innej agroturystyki na Podhalu? – Kobieta zerknęła na tablicę z wyświetlonymi godzinami odjazdów pociągów, którą widać było z ich stolika. – Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to jutro w nocy będziesz mieć niemały problem, bo znając życie, głodna jak wszyscy diabli będę wymagać twojej uwagi. Niepodzielnej uwagi. Rozumiemy się? – Alicja uśmiechnęła się do Michała. – Zrobię wszystko, żeby wrócić jak najszybciej, a to nam daje wolny poniedziałek i wtorek, prawda?

– Tak jest, psze pani.

– Nie wyglądasz na pełnego entuzjazmu – zauważyła.

– Nie lubię, kiedy wyjeżdżasz sama. Wiesz o tym. – Michał zacisnął usta. – Martwię się. To chyba nic złego?

– Radzę sobie na macie, radzę sobie z biegami przełajowymi, poradzę sobie i z tym spacerkiem. Żadnych lin, żadnych ścian, żadnego biegania. Ty też daleś wtedy radę, więc nie powinieneś tyle narzekać.

– Jakoś. – Michał zaśmiał się cicho. – Jakoś dałem radę.  
– Oj tam! Byłeś bardzo dzielny, a ja jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna. – Alicja pogroziła mu frytką.

– „Jestem z ciebie bardzo dumna”, co? To jakaś nowa nagroda pocieszenia? Jak na dzień sportu w szkole? Dziś nie ma przegranych, dziś każdy dostanie czekoladkę – droczył się z nią.

– Nie, ty tępą knago, to znaczy, że dla mnie byłeś i jesteś pierwszy. Znasz lepszą nagrodę?

– Już dobrze, poddaję się. Bezwarunkowa kapitulacja. – Michał wyciągnął telefon z kieszeni i spojrzał na godzinę. – Będziesz miała zasięg?

– Myślę, że tak. Przynajmniej na szczytach. Jak będę w lesie albo jak zejść w jakąś dolinę, to może być z tym kruchoch – odpowiedziała Alicja. – Kiedy złapię połączenie z internetem, to będę wrzucać zdjęcia, żeby żaden ładny widok cię nie ominął. Nawet nie poczujesz, że cię tam nie ma.

– To nie to samo, ale dzięki. Będę czekać.

– Aleś marudny się zrobił.

– Przejrzałaś mnie. Za bardzo lubię twoje towarzystwo. – Michał zgarnął wszystkie papierki oraz kubki na środek tacy.

– Wrócę, zanim się obejrzysz. – Alicja wstała od stolika i chwyciła za plecak. – Jest cięższy, niż był. Coś tam włożył?

– Kilka drobiazgów, żebyś na pewno nie była głodna – odparł Michał z miną niewiniątka.

– Pół sklepu mi wsadziłeś pod klapę. – Kobieta stęknęła z udawaną przesadą.

– Tylko ćwierć.

– Czy ja mam brodę, dziesięć przykazań w dłoni i gadam o paleniu krzewów? Nie jestem Mojżeszem. Jadę na dwa dni, nie na czterdzieści lat włóczęgi po pustyni. – Alicja spojrzała na tablicę odjazdów. – Za dziesięć. Idę. Ty też lepiej jedź, bo później utkniesz w korkach.

– Nie chcesz, żebym cię odprowadził? Wsadzę plecak do bagażnika.

– Skarbie. Wolę, żebyś się nie spóźnił do pracy. – Alicja przytuliła się do Michała. – Poradzę sobie. Wiesz o tym.

– Wiem. Może być pizza? W niedzielę?

– A może być to? – Alicja szybko pocałowała Michała w usta.

– Tak. Uważaj na siebie.

Alicja nałożyła na oczy okulary przeciwsłoneczne, po czym wsunęła rękę do kieszeni spodni, sprawdzając, czy złożona na czworo kartka z wydrukowanym biletem wciąż tkwi na swoim miejscu.

– Będę.

Dolna płyta krakowskiego dworca autobusowego przypominała jaskinię wspartą na rzędach filarów w kolorze zblakłej bieli. Powietrze było tutaj gorące, wypełnione zapachem spalin i kurzu. Podróżni siedzieli na ławkach, ze smętnym wzrokiem wlepionym w chodnik, ignorując zarówno kręcące się w pobliżu gołębie, jak i sączący się z głośników głos zapowiadający połączenia. Czekali obojętnie na swoją kolej, a kiedy nadchodził ich czas, szli równie apatycznie ku swoim stanowiskom i znowu czekali, tym razem przestępu-

jąc z nogi na nogę, spoglądając na zegarki lub czytając po raz dziesiąty wydrukowane w kasie paragony.

Tłumiąc ziewnięcie, Alicja stanęła w krótkim ogonku ludzi, który zniknął wewnątrz busa do Rabki. Wspięła się po gumowanych stopniach i podała siedzącemu za kierownicą mężczyźnie wydrukowany bilet.

– Bagażnik otworzyć? – zapytał wąsaty kierowca, nawet nie unosząc wzroku znad kartki.

– Dziękuję. Położę nad siedzeniem. – Alicja odebrała bilet, wsunęła plecak na półkę, po czym zajęła pojedyncze miejsce po prawej stronie mikrobusu, dwa siedzenia za drzwiami. Naklejona na szybę reklama oblepiała cały bok pojazdu niby pajęczyna, nie pozwalając nikomu z zewnątrz zaglądać do wnętrza, co Alicja powitała z zadowoleniem. Nigdy nie lubiła czuć na sobie tych szukających spojrzeń pozostawionych na dworcu ludzi, nawet jeśli pozbawione były jakichkolwiek złych intencji. Michał był wyjątkiem. On mógł patrzeć się do woli.

Kierowca przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik zamruczał cicho, klimatyzacja ożyła.

– I co? – zwrócił się do samotnego mężczyzny stojącego na skraju stanowiska z dłońmi wbitymi w kieszenie spranych spodni.

– Co ma być? – Tamten obrócił się powoli.

– Wsiadasz pan czy stoisz? Ja czekać nie zamierzam, aż się pan zdecydujesz.

– Jedź w takim razie.

– To zamknij pan drzwi.

Mężczyzna przez moment wpatrywał się w kierowcę, jakby ten rzucił mu w twarz najgorszą obelgą. Chwycił jednak za klamkę i drzwi cicho trzasnęły.

– Co za dziwak – mruknął kierowca, wrzucając wsteczny bieg. – Z roku na rok gorszych produkują.

Alicja poszukała wzrokiem pasów bezpieczeństwa, ale tych w busie nie było. Westchnęła cicho, nałożyła słuchawki na uszy i zamknęła oczy. Ten fragment drogi знаła nader dobrze. Najpierw ostry zakręt w lewo, a po nim jeszcze jeden. Potem krótki odcinek wylotowej drogi z dolnej płyty dworca, zakończony spadającą z sierpniowego nieba kurtyną światła. W słuchawkach wybrzmiały pierwsze nuty muzyki, które szybko przytłumiły silnik oraz rozmowy współpasażerów.

\* \* \*

Saal patrzył, jak granatowy mikrobus znika w gardzieli Tunelu Świętego Rafała Kalinowskiego. Stał przez chwilę w bezruchu, po czym spojrział na zegarek. Wskazówki garmina pokazywały minutę po siódmej. Ktoś inny poczułby ukłucie niepokoju albo złości, ale Saal tylko usiadł na ławce, czekając, aż wyglądający kolejnego kursu zaczął gromadzić się nad krawężnikiem stanowiska numer pięć.

Kolejny bus do Rabki odchodził z sąsiedniego stanowiska za dziesięć minut. Saal uznał, że jeżeli Michał Gil oraz jego narzeczona przegapili kurs o siódmej, zapewne lada moment pojawią się zdyszani na dworcu, ale jedyną nieomal spóźnioną podróżną była zakonnica, która w ostatniej chwili

dopadła do busa do Słomnik. Z całym dostojęństwem habitu klarysek, trzepocącym szkaplerzem oraz biletem w dłoni siostrzyczka przemknęła przez długość dolnej płyty i doskoczyła do swego rydwanu minutę przed odjazdem. Kwadrans po siódmej ze stanowiska numer cztery odjechał prawie pusty mikrobus do Rabki, za dziesięć ósma następny, tym razem wypchany pasażerami po same drzwi.

Saal siedział na ławce do dziewiątej, kiedy to zyskał pewność, że dalsze oczekiwanie straciło sens. Gdyby Michał Gil miał pojawić się na dworcu, już był to zrobił.

Nie był zły ani nawet rozczarowany. Zlecenie przyjął w ostatniej chwili, zaledwie kilka dni przed planowanym wyjazdem z Polski, a ludzie, którzy złożyli mu ofertę, właściwie pogodzili się z utratą towaru i jedyne, co mogli zaoferować, to garść szybko stygnących tropów. Z pewnością przekazanie danych, znalezionych na drugim laptopie Wojciecha Tkacza, stanowiło dla warszawskiej Familii pewną osłodę, podobnie jak wieść o wykonaniu wyroku na złodzieju, ale sprawa wciąż wyglądała na straconą. Mimo to Saal nie zamierzał zrezygnować z polowania. Nie zwykł się poddawać tak szybko. Dla niego łowy mogły trwać jeszcze miesiąc albo rok. Był pewien, że prędzej czy później natrafi na ślad skradzionej przesyłki i wyrwie ją z dłoni ostatniej osoby, do której trafiła. Lubił wyzwania, a komplikacje nadawały całej sprawie o wiele ciekawszy koloryt. W istocie Saal byłby rozczarowany, gdyby cała rzecz skończyła się w mieszkaniu Wojciecha Tkacza. Teraz, gdy zdobycz zaczynała wymykać się z rąk, zlecenie stawało się interesujące, godne jego uwagi oraz pełnego zaangażowania. Saal nigdy nie prze-

padał za żerowaniem na padlinie i prostymi rozwiązaniami, wolał polować.

Na stanowisko przed ławką wtoczył się ogromny auto-  
kar i wypuścił ze swojego brzucha przeszło pół setki pasa-  
żerów, którzy natychmiast zgromadzili się przy otwartych  
lukach bagażowych jak hieny. Nawet śmiech mieli podobny.

Michał Gil nie mógł zwietrzyć podstępu, chyba że skon-  
taktował się z nim któryś z ludzi Rakowatego. Ten jeszcze  
nie powinien mieć powodów, aby wątpić w podany przez  
Wojciecha termin. Saal oparł łokcie o kolana i dotknął pal-  
cami podbródka. Zawodowcy byli przewidywalni, w przeci-  
wieństwie do amatorów – cóż więc mogło sprawić, że para  
ślepych mułów, nieświadomych przemytników, nie pojawi-  
ła się o godzinie siódmej na dworcu? Przypadek. Być może  
pojechali wcześniejszym kursem, być może pojedą dopiero  
następnego dnia albo dopiero w poniedziałek urządzą sobie  
szybką wycieczkę samochodem na Podhale i po drodze za-  
winą do Falsztyna.

Nie miało to większego znaczenia.

Saal spojrział na grupkę żywo gestykulujących Włochów  
stojących nad stertą walizek, podczas gdy z głośników po-  
płynął monotonny głos kobiety zapowiadający opóźnienie  
kursu do Sanoka. Wstał i ruszył w kierunku przeszklonych  
drzwi dworca kolejowego.

– Przepraszam, ja wiem, jak to wygląda. – Przy rucho-  
mych schodach zaczął go niewysoki, utykający mężczy-  
zna. Miał opuchniętą od alkoholu twarz, oblepione strupami  
czoło i poplamioną koszulę. – Ale zbieram na jedzenie...



Saal nie zwrócił na niego uwagi.

\* \* \*

Maczeta. Tak w myślach Alicja nazwała wąsatego kierowcę busa. Z opadłymi policzkami, szerokim nosem i siwiejącymi włosami mógłby śmiało uchodzić za członka kartelu z Juárez albo Medellín, ale to nie wygląd nasunął jej to skojarzenie. Maczeta wcinał się wszędzie. Kiedy wypatrzył na sąsiednim pasie najmniejszą choćby lukę, z miejsca przystępował do zażartej walki o każdy centymetr asfaltu, jakby od tego zależało jego życie. Bus co chwila ruszał i stawał, krótkimi zrywami na pierwszym biegu wbijał się między sąsiednie auta, po czym uparcie brnął naprzód, pomimo migających reflektorów oraz trąbienia klaksonów. Maczeta nie jechał przez to szybciej, na to nie pozwalały światła, ale kierowcy zdawało się to zupełnie nie przeszkadzać.

Rwana jazda skończyła się dopiero za Libertowem, gdy stłoczone na południowym wyjeździe z Krakowa samochody wreszcie mogły ruszyć obydwojma pasami drogi w kierunku Zakopanego. Alicja z westchnieniem ulgi powitała zmianę. Miała dosyć objiania się czołem o szybę przez ostatnie dwadzieścia minut i chociaż oczy się jej zamykały, Maczeta dołożył starań, aby nie mogła zasnąć.

– Ja ci powiem, że tak szczerze to krew się we mnie gotuje, jak ich słyszę – doszedł ją strzęp rozmowy pomiędzy dwoma mężczyznami. Tematem była nieodmiennie polityka.

– Ich?

– No wiesz, tych, co tylko siedzą i pytlują przed kamerami. Oni tylko by gadali, kradli, a potem obiecywali, czego to nie zbudują za to, co ukradli.

– Oni są najgorsi. Nie to co nasi.

Oni i nasi. To zawsze są oni i nasi, pomyślała Alicja, zasypiając.

\* \* \*

Ćma zatrzymał samochód pod skromną kapliczką pod wezwaniem Najświętszej Paniienki.

– Daj mi kilka minut – powiedział Saal do kierowcy, zanim ruszył świeżo zbudowanym chodnikiem w kierunku nowoczesnego supermarketu stojącego opodal nasypu kolejowego.

To było miejsce jakich wiele. Kolejna ze starych wiosek zamieniona w noclegownię puchnącego powoli Krakowa. Niegdyś życie mieszkańców koncentrowało się wokół linii kolejowej oraz małego dworca, pamiętającego jeszcze czasy zaborów. Wzdłuż prowadzącej na stację drogi wciąż dało się zauważyć niskie domki, w których mieszkali byli pracownicy kolei oraz ich rodziny. Prawie wszystkie obejścia miały kute bramy i ogrodzenia z kawałków szyn zamiast zwykłych słupków. Pomiędzy starszą zabudową stały pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, kwadratowe, pomalowane na pastelowe kolory budynki. Łatwo było się domyślić, które domy zajmowali starzy mieszkańcy wsi. Ci wciąż trzymali się swoich sprawdzonych rozwiązań – w cieniu domów stały foliaki i małe szklarnie, skrawki ziemi zryte były motykami,

a gdzieś tam, pomiędzy stertami starego drewna z rozebranej stodoły, biegały kury.

Saal skręcił w wąską uliczkę wiodącą w głąb osiedla. Przy narożnym domu starszy mężczyzna, ubrany tylko w spodnie, buty oraz wymiętą czapkę, ścinał kosą trawę. Ogromny wilczur bawił się piłką przy ogrodzeniu, a na widok przechodnia doskoczył do siatki, cały czas miętając zabawkę w pysku.

– On nie gryzie, nie ma co się bać – powiedział mężczyzna, opierając się na stylisku kosy.

– Chyba że kazałby mu pan. – Saal spojrział na psa, który wystawił pysk pomiędzy prętami ogrodzenia i zaczął cicho domagać się pieczywa.

– A gdzie bym ja kogo psem szczuł? – Mężczyzna machnął dłonią, po czym otarł pocięte zmarszczkami czoło. – Przynajmniej cukinie dobre rosną. Gorąc dla nich, ale na wiosnę to obrodziły. Tyle ich było, że po sąsiadach rozdać musiałem, bo nic z tym nie mogłem zrobić. Pomidory to lubią, jak jest ciepło. Też ich sporo wyrosło. Dawniej takich upałów nie było, to i łatwiej było w polu robić. Teraz to albo deszczu nie ma, albo leje tygodniami, a jak leje, to woda spływa strumieniem z góry. Tam sobie porobili betonowe parkingi i nic nie wsiąka w ziemię, tylko płynie na niższe działki, no i zalewa. Zgnić potrafi wszystko, a do tego ślimaków się wyroiło tyle, że po deszczu to nie sposób przejść kilku kroków, żeby jakiegoś nie nadepnąć.

Saal kiwnął powoli głową, patrząc gdzieś ponad ramieniem rozmówcy. Poglaskał psa po nosie i słuchał dalej potoku słów wylewającego się z ust mężczyzny.

– Jak skwar, no to podlewać trzeba, czasami nawet kilka razy za dnia. Tu jest studnia, każdy tutaj ma taką na działce, więc za wodę nie trzeba płacić. Ale dawniej to więcej było wody w studniach, ale potem osuszyli jeziora i kanalizację tutaj porobili, od wiaduktu aż do kościoła. – Mężczyzna w czapce wskazał w sobie tylko znanym kierunku. – Mniej komarów się lęgnie, przynajmniej tyle.

– Muszę już iść. Dobrego dnia.

– A, dobrego, dobrego.

Saal ruszył w górę drogi, żegnany radosnym powarkiwaniem owczarka, który biegł za nim aż do końca działki, po czym usiadł na ziemi, przekrzywił łeb i wypuścił piłkę z pyska. Tutaj po obydwu stronach jezdni, pod ogrodzeniami, rzędem stały kolorowe worki pełne posegregowanych odpadków oraz czarne kontenery na kółkach. Widać było, że śmieciarka przejechała niedawno, bo ludzie dopiero wychodzili z domów, aby wciągnąć pojemniki na posesje.

– Dzień dobry – powiedziała drobna, ubrana na czarno pani w średnim wieku, spoglądając na Saala zza grubych szkieł okularów.

– Dzień dobry. Dawno temu zabrali śmieci?

– Nie. Śmieciarze są jeszcze na górze. – Kobieta zaciśnęła kościste dłonie na rączce pustego kontenera. – Jeżeli się pan pośpieszy, to jeszcze ich pan złapie.

– Dziękuję. Martwiłem się raczej, że nie zdążę wystawić plastików. – Saal wskazał na żółty, oparty o bramkę worek. Mówił lekkim, pogodnym tonem człowieka, który nie bierze życia zbyt poważnie.

– Ci od plastików przyjeżdżają później, około dwunastej. – Kobieta zmrużyła oczy. – Pan jest tu nowy, prawda? Z tych domów, co je tam na końcu drogi zbudowali?

– Tak. Z tych nowych domów. – Saal kiwnął głową. – Dopiero niedawno odebrałem klucze.

– Znam każdego w dół drogi od swojego domu, ale prawie nikogo z góry, a mieszkam tutaj czterdzieści pięć lat, proszę pana. Dopiero na starość sobie człowiek zdaje sprawę, jakie to dziwne, że nigdy nie chodzi się w górę osiedla.

– Nie. To całkiem normalne. Ludzie płyną jak woda – odpowiedział Saal z ciepłym uśmiechem.

– Ludzie płyną jak woda. Ładnie pan to powiedział, naprawdę. No, ale nie zatrzymuję dłużej. Do widzenia.

– Do widzenia.

Saal minął krzyż na rozstaju uliczek i pomaszzerował przez niedawno wzniesione osiedle małych domków otoczonych splachetkami ziemi, skrojonych na miarę ambicji oraz zarobków nowych mieszkańców wsi. Na końcu drogi zatrzymał się przed niewielką działką otoczoną starannie przystrzyżoną ścianą żywopłotu. Przy furtce wisiała tabliczka z numerem czterysta czternaście.

Saal włożył rękawiczki, po czym, niby sięgając do kieszeni po telefon, zajrzał, czy w skrzynce pocztowej nie ma żadnych przesyłek. Łokciem uchylił klapę pustego kontenera na śmieci. Nie widząc przy furtce przycisku dzwonka, chwycił za klamkę i wszedł na zarośniętą trawą żwirowy podjazd. Domek otoczony był murem zieleni, który chronił Alicję i Michała przed wzrokiem sąsiadów. Narzeczeni

musieli długo planować swoją ucieczkę z miasta, byle dalej od wścibskich oczu i uszu ściśniętych w klatkach blokowych mieszkań. Saal wytarł buty o wycieraczkę, po czym zadzwonił trzy razy. Odpowiedziała mu cisza. Ponownie nacisnął przycisk domofonu. Nic. Obrócił się i podszedł do garażu zajmującego większą część działki. Drzwi były zamknięte tylko na skobel, podczas gdy otwarta kłódka wisiała na klamce. W środku pachniało smarem, płynem do spryskiwaczy oraz benzyną. Na półkach stały plastikowe butelki i kanistry, a obok, na hakach, wisiały podkaszarka, łopata, grabie oraz sekator.

Mieszkańcy nie opuścili domu na długo. Gdyby było inaczej, nie wystawiliby kubła na śmieci i zamknęliby garaż na kłódkę. Saal wciągnął w nozdrza zapach oleju. Wyciągnął telefon z kieszeni i przebiegł wzrokiem przez długą listę numerów, które zebrał, przeszukując korespondencję Wojciecha. Nacisnął kciukiem na pozycję zapisaną jako „Michał – służbowy”.

– Michał Gil, biuro do spraw nadzoru jakości oprogramowania. – W telefonie odezwał się głos człowieka, który pod warstwą profesjonalizmu ukrywał palącą nienawiść do wykonywanego zawodu. – W czym mogę pomóc?

– Gil? Przepraszam najmocniej. Myślałem, że dzwonię do... musiałem się pomylić, wpisując numer. – Saal bez trudu udał szczere zakłopotanie.

– Jeżeli szuka pan kogoś w Delphitech, to służę pomocą – zaproponował Michał. – Pomyłki zdarzają się tutaj cały czas.

– Obawiam się, że to nie jest sprawa służbowa, ale dziękuję za propozycję i jeszcze raz przepraszam za kłopot.

– Nic się nie stało. Miłego dnia.

Saal rozłączył się. Wyciągnął z telefonu baterię oraz kartę SIM. Rozumiał już, dlaczego Michał nie wsiadł o godzinie siódmej do busa. Była to zasługa najzwyczajszego w świecie przypadku, którego żadnym sposobem nie dało się przewidzieć. Zabójca obrócił w palcach baterię, kalkulując, ile czasu minie, zanim ktoś zorientuje się, że milczenie Wojciecha nie było związane z kolejnym ciągiem alkoholowych szaleństw. Szybko porzucił tę myśl i zadał sobie ważniejsze pytanie. Czy Michał ma paczkę przy sobie?

Wyszedł z garażu, zamknął drzwi i spojrzał na ukryty pośród zieleni domek, rozważając, jak szybko mógłby dostać się do wnętrza, jednak po chwili tylko pokręcił głową. Dom, w przeciwieństwie do wynajmowanego na miesiące mieszkania, był czymś więcej niż tylko czterema ścianami. Był sanktuarium, a on to respektował.

Saal opuścił działkę i ruszył w dół uliczki, mijając rzędy kolorowych worków na śmieci. Po drodze zerknął na zegarek. Dwadzieścia po dziesiątej.

\* \* \*

Komisarz Skarga wyciągnął kluczyk ze stacyjki i sięgnął po tkwiący w uchwycie kubek. Kawa była okropna. Zimna, ciepka i na tyle mocna, aby przebudzić martwego z wiecznego snu. Dokładnie taka, jaką lubił. Przypominała mu, że żyje, a raczej że jeszcze nie umarł.

– To naprawdę działa? – zapytał siedzący obok aspirant Daniel Kita, spoglądając, jak Skarga krzywi się z każdym łykiem. Nawet w cywilnym ubraniu komisarz nie potrafił wtopić się w tłum. Potwornie wysoki i chudy, przypominał stracha na wróble, którego ktoś oblekł ludzką skórą, na dodatek niezbyt dokładnie. Głęboko osadzone oczy oraz wąskie, prawie bezkrwiste wargi sprawiały wrażenie, jakby Skarga dopiero co opuścił zakład zamknięty, i to bez wiedzy personelu.

– Co? Kawa? – Komisarz otworzył drzwi nieoznakowanego radiowozu. Z miejsca uderzyła go w twarz fala gorącego powietrza. – Nie, nie działa.

– To czemu ją pijesz? – Kita wysiadł z auta i odruchowo poprawił marynarkę zakrywającą ukrytą pod pachą kaburę.

– Bo lubię być zmęczony szybciej. – Skarga uśmiechnął się krzywo, zamykając drzwi samochodu. – Idziemy.

Z bezchmurnego nieba lał się żar, zamieniając Kraków w ogromny, betonowy piec. Temperatura w cieniu zbliżała się nieuchronnie do granicy trzydziestu stopni i trudno było sobie wyobrazić, żeby w najbliższych dniach upał miał zelżeć. Rzadkie podmuchy wiatru nie przynosiły ulgi, wręcz przeciwnie, dawały tylko płonną nadzieję na zmianę pogody.

– Skwar taki, że żyć się odechciewa. Po co służyć w policji, skoro nie możemy nawet zaparkować tam, gdzie chcemy? – rzucił Kita, ocierając dłonią pot, który natychmiast wystąpił mu na czoło. – Przed bramą było przecież miejsce.

– Było, prawda, ale dla niepełnosprawnych. Z tego, co wiem, bycie policjantem się do tej kategorii nie zalicza.



Jeszcze. – Skarga ruszył chodnikiem wzdłuż wysokiego ogrodzenia otaczającego teren zamkniętego osiedla. Ponad szczytami metalowych prętów wystawały żółknące od upału tuje, mające zapewnić prywatność mieszkającym tu ludziom i odseparować ich od zwykłych zjadaczy chleba. – Wyobrażasz sobie mieszkać w takim miejscu?

– Mam za mało dzianych rodziców, żeby nawet myśleć o czymś takim. – Kita wyduł usta.

– Wojciech Tkacz nie ma bogatych rodziców i krewnych, a mimo to mieszka tutaj. – Skarga wskazał kciukiem na ogrodzenie. – W jego oświadczeniach podatkowych brakuje wzmianek o jakichkolwiek wpływach, które pozwoliłyby mu kupić na własność lokal w takim miejscu. Ciekawe, prawda?

– Może jest ulubioną zabawką pani prezes... albo pana prezesa? – podsunął aspirant.

Komisarz zgromił Daniela wzrokiem, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu, który uwydatnił kilka głębokich zmarszczek przecinających jego policzki. Przez nawyk picia potwornie mocnej kawy, wychudłą twarz i zapadnięte oczodoły już pierwszego dnia od sformowania zespołu śledczego ktoś z przekąsem nazwał komisarza Ponurym Żniwiarzem. Przewisko pasowało jak ulał.

– Przynajmniej byłoby wesoło, ale tym razem mam nadzieję na coś innego – powiedział Skarga.

– Sądzisz, że tym razem się nam poszczęściło? Że to kurier? – Kita podrapał się po szyi.

– Wygląda na to, że ten cały Tkacz utrzymywał kontakt z Wigorem, a Wigor zaczął sypać, i to tak szczerze,

że szuflą trzeba zbierać wszystkie nazwiska. Co prawda trzy czwarte z nich to ślepe uliczki, ale byłoby dobrze mieć jakąkolwiek sensowną poszlakę po miesiącach harówki. Jak do tej pory tylko obserwujemy, obserwujemy i... czekaj, co my właściwie robimy, Kita?

– Obserwujemy.

– Ach tak, słowo mi uciekło – mruknął Skarga, zatrzymując się przed zamkniętą bramą osiedla położonego opodal ulicy Jasnogórskiej i Galerii Bronowice. Po drugiej stronie metalowego ogrodzenia rozciągał się zupełnie inny świat, gdzie wybrańcy mogli cieszyć się wybrukowanymi alejkami, własnym placem zabaw dla dzieci oraz równymi rzędami świeżo zbudowanych domów o jasnych ścianach. Nie brakowało nawet paneli słonecznych umieszczonych na ciemnej blachodachówce.

– Chyba czas się przedstawić, bo cieć łypie z taką subtelnością, że zaraz wypadnie ze swojej budki i sobie rozwali głębę. – Kita wyrócił oczyma.

– Mogę w czymś pomóc? – rzucił ochroniarz o bladej, pryszczatej twarzy, wychylając się przez okienko stróżówki umieszczonej obok opuszczonego szlabanu.

– Komisarz Piotr Skarga, Centralne Biuro Śledcze. – Skarga wydobyl spod koszuli zawieszoną na łańcuszku legitymację oraz odznakę, po czym wskazał głową na stojącego obok mężczyznę. – Aspirant Daniel Kita. Skoro pan proponuje, to nie zamierzam odmawiać.

Stróż zacisnęła usta, niezadowolony z wizyty policji. Odchrząknął, spuścił na moment wzrok, po czym wyszedł ze swojej budki i zamknął ją na klucz. Wyraźnie było mu nie

w smak opuszczać klimatyzowane wnętrza w taką pogodę. Sądząc po jego jasnej cerze, większość lata spędził z daleka od słońca, wpatrzony w ekran komputera.

– W czym mogę panom pomóc? – powtórzył ochroniarz, zakładając na głowę czapkę z daszkiem.

– Pod którym numerem mieszka Wojciech Tkacz?

– Tkacz? Pod piątką, mieszkanie B. – Stróż wskazał dłonią na jeden z identycznych domów ciągnących się wzdłuż alejki. – Coś się stało? Coś niedobrego, prawda?

– Policji nikt nie wzywa, kiedy dzieją się dobre rzeczy – odparł Skarga. – Chcemy mu zadać kilka pytań, ale niewykluczone, że będziemy musieli wejść do jego mieszkania.

– Czy... – zaczął stróż, ale komisarz natychmiast mu przerwał.

– To zależy od tego, czy nam otworzy. Obecnie istnieje uzasadnione podejrzenie, że Tkacz popełnił przestępstwo, a w jego lokalu znajdować się mogą dowody w sprawie. Jak będzie trzeba, to resztę detali ustalisz z komendą albo prokuratorem. To jak, idziemy?

– Tak jest, panie władzo.

– Kita, idź od tyłu – polecił komisarz. – Nie chciałbym, żeby ptaszek nam wyleciał przez okno, kiedy będę pukać.

– Jasne. – Kita skinął głową, szybkim krokiem przeciął usychający trawnik i zniknął między domami.

– Wojciech Tkacz, znasz go? – Skarga zwrócił się do idącego obok ochroniarza.

– Z widzenia. Kilka razy rozmawialiśmy, ale nie znałem go tak, no, na poważnie.

– Domyślam się, że widzisz każdego, kto tutaj wchodzi?

– Tak jest. Rezydentów znam, ale nie po imieniu, tylko po numerach domów, w których mieszkają. Tkacza akurat kojarzę, bo raz czy dwa zatrzymałem przy bramie takich podejrzanych typków. Zarzekali się, że to jego znajomi. Wpuściłem ich, dopiero kiedy Tkacz się po nich pofatygował.

– Ma wielu gości?

– Cały czas. To chyba jedyne, co mogę o nim powiedzieć, że drzwi się u niego nie zamykają – potwierdził stróż, wskazując dłonią na schody prowadzące na ganek domu numer pięć. – U niego tydzień bez jakiejś popijawy to się rzadko trafia. Kilka razy musiałem zbierać go z chodnika, bo srogo przesadził z procentami. Zabrałem go do jego mieszkania, bo źle by wyglądało, gdyby dotarło to do niewłaściwych osób, rozumie pan.

– Naturalnie. O reputację osiedla trzeba dbać. – Skarga wykrzywił usta w uśmiechu. – Numer piąty. – Komisarz wspiął się po schodach na ganek, stanął przed drzwiami i załomotał pięścią w drzwi.

– Tutaj jest dzwonek – bąknął ochroniarz.

– Pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Zresztą nie przychodzę tutaj z prośbą, tylko z rozkazami. – Komisarz pokręcił głową. – Żadnej odpowiedzi. Niedobrze. Jak tak dalej pójdzie, to bez łapki się nie obejdzie.

– Łapki?

– Bez siłownika wyważeniowego. Czegoś takiego nie stworzysz spinką do włosów...

Niespodziewanie szczęknęły otwierane zamki, drzwi uchyliły się, a w progu stanął aspirant Kita. Na jedną dłoń

miał naciągniętą lateksową rękawiczkę, w drugiej trzymał telefon.

– Okno nie było zamknięte na wajchę, wystarczyło popchnąć i już byłem w środku. Spokojnie, zrobiłem zdjęcia framugi, szyby i parapetu, zanim czegokolwiek dotknąłem – wyjaśnił Daniel, widząc pytające spojrzenie Skargi. – Znalazłem go.

– Czyli jest martwy – westchnął komisarz. Doskonale wiedział, że nikt nie mówił o żywych w taki sposób, bez pośpiechu, z tą charakterystyczną rezerwą w głosie.

– Wygląda na wypadek.

– Mhm, wypadek. Wezwij techników. – Skarga westchnął ciężko i spojrzał na ochroniarza, który próbował zajrzeć do wnętrza mieszkania. – Nie chcę tutaj widzieć nikogo postronnego do momentu przyjazdu ekipy. Stań przed wejściem. Jeżeli ktokolwiek będzie chciał wejść, zatrzymaj go.

– Tak jest. – Stróż pokiwał głową, po czym zszedł po stopniach ganku.

– Rozumiem, że wypadek nie wchodzi w grę – stwierdził Kita z krzywym uśmiechem czającym się w kątku ust.

– Gdyby chodziło o zwykłego synka z dobrego domu, który przepuszcza forszę starych na prochy, alkohol i dziwki, to uznałbym to za wypadek. – Skarga ściszył głos. – Wypadki chodzą po ludziach, ale kiedy możemy mieć do czynienia z kurierem grupy Rakowatego, to moja wiara w zbiegi okoliczności się kończy. – Komisarz naciągnął na dłonie rękawiczki. – Dzwon po furgon i trupiarzkę. Ja się rozejrzę.

Skarga wszedł do wnętrza i zamknął za sobą drzwi. Odechnął głęboko chłodnym powietrzem przesiąkniętym wonią krwi oraz wody kolońskiej. Było coś niepokojącego w domu świeżo zabitego człowieka. Wnętrze nie zdążyło jeszcze ostygnąć, skostnieć w pośmiertnym stężeniu. Wszystkie rzeczy leżały tak, jak pozostawił je właściciel najdalej przed kilkunastoma godzinami. Każdy drobiazg, naczynia w szufladach, ułożone buty, uchylone drzwi do ubikacji, rzucony obok pralki ręcznik, wszystko to wyglądało tak, jakby Wojciech Tkacz miał za moment wyjść ze swojej sypialni i zażądać od policjanta wyjaśnień. W miejscach, gdzie zapach codziennego życia jeszcze nie zdążył się ulotnić, komisarzowi zawsze towarzyszył lodowaty dreszcz pnący się wzdłuż kręgosłupa. Cichutki szept podpowiadał mu, że nie jest tutaj sam, że coś jeszcze czai się za najbliższymi drzwiami, a niewyraźne poruszenie, złowione kątem oka, nie jest tylko złudzeniem. Kilka lat temu Skarga wszedł do mieszkania, w którym znalazł ciało zastrzelonego dwa dni wcześniej mężczyzny oraz pozostawioną na stole szklankę. Po ścianie naczynia wciąż spływała piana. Zdało się, że morderca tuż przed wejściem policji rozkoszował się jeszcze ostatnim, nieśpiesznym łykiem piwa. Tego jednego człowieka komisarz nigdy nie znalazł.

Skarga drgnął, gdy usłyszał za plecami dźwięk otwieranych drzwi.

– Ekipa już jedzie – powiedział aspirant, wchodząc do mieszkania.

– Masz jakieś obserwacje, Kita? Coś ci się rzuciło w oczy, kiedy wszedłeś przez okno? – zapytał komisarz, klęcząc przy ciele Wojciecha Tkacza.

– Że wybrałem zły zawód – odpowiedział Daniel, patrząc na przeszkloną szafkę wypełnioną od podłogi po sufit butelkami drogiego alkoholu.

– Na temat ciała.

– Rozbryzg krwi na krawędzi stolika, ślad czołgania się. Wygląda naturalnie... – Aspirant wzruszył ramionami. – Tylko to okno. Skoro nie wierzymy w przypadki, powiedziałbym, że ktoś mógł stąd niepostrzeżenie wyjść.

– Dokładnie. – Komisarz spojrzał na laptopa spoczywającego na kanapie. – Lubisz komputery, prawda?

– Ostatnie rozmowy, lista znajomych, potwierdzenie kontaktów z grupą Rakowatego, transfery finansowe, miejsca pracy, prawdopodobny rodzaj przerzucanego towaru, określenie potencjalnego kręgu odbiorców oraz skrzynek odbiorczych, zaszyfrowane pliki, archiwa... A tak właściwie to trzeba poszukać laptopa oraz telefonu, których Tkacz używał do kontaktowania się z resztą grupy, bo nie chce mi się wierzyć, że ustalał spotkania, przeglądając w drugim oknie zdjęcia na Facebooku – wymienił Kita, biorąc się pod boki. – Coś pominąłem?

– Nie. Wydaje mi się, że nie.

\* \* \*